

Otton Gordziałkowski, Agnieszka Metelska

Z perspektywy wieku : z Ottonem Gordziałkowskim, dziewięćdziesięcioletnim nestorem polskich adwokatów, wpisanym na listę adwokatów warszawskich w 1929 roku, rozmawia Agnieszka Metelska

Palestra 37/9-10(429-430), 4-8

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z perspektywy wieku

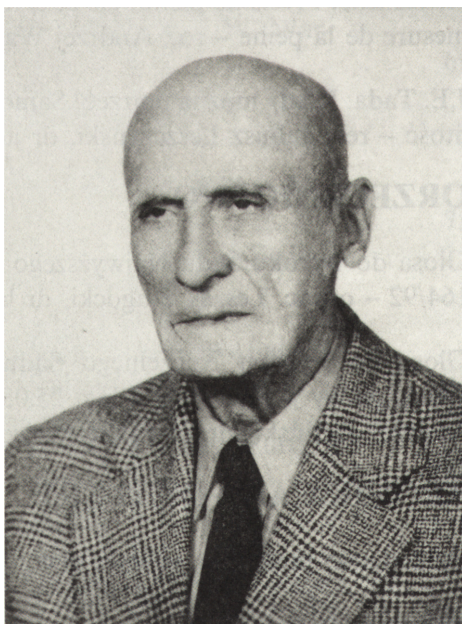
Z Ottonem Gordziałkowskim, dziewięćdziesięcioletnim nestorem polskich adwokatów, wpisanym na listę adwokatów warszawskich w 1929 roku, rozmawia Agnieszka Metelska.

– Co widać najwyraźniej z perspektywy prawie wieku?

– Dwudziestolecie międzywojenne. W moim życiu był to czas aksamitny. Leonard Tallen Wilczewski, mój patron, był adwokatem arystokracji i największych przedsiębiorstw. Dzięki jego kontaktom miałem świetną klientelę, chociaż wyglądało to tak, że on, adwokat z doświadczeniem, zajmował się superprzedsiębiorstwami, mnie zostawiając obsługę przedsiębiorstw, i najlepszymi hrabiami, odstępując mi tych nieco gorszych.

– Pamięta Pan swoją pierwszą, ważną sprawę?

– Świetnie pamiętam. Działała wówczas w Warszawie spółka holdingowa Dunlop Rober Company, której głównymi udziałowcami byli Anglicy. Była to bogata firma z kapitałem zakładowym dziesięciu milionów złotych, bardzo dużą sumą na owe czasy. Mój patron pewnego dnia powiedział do mnie: „Jedź do Dunlop Rober Company i pomóż sporządzić statut”. Napracowałem się nad tym statutem, ale warto było, bo w rezultacie Anglicy zatrudnili mnie. Koniecznie chcieli kupić dom w Alejach Ujazdowskich 49.



Ten, w którym obecnie znajduje się Okręgowa Rada Adwokacka. Spodobał im się tak, że powiedzieli – ten albo żaden. Okazało się, że hipoteka domu była bardzo skomplikowana. Wziąłem do pomocy kolegę cywilistę – głowiliśmy się, robiliśmy wspólnie notatki, odnośniki, zastrzeżenia. W końcu hipoteka została jakoś wyczyszczona i dom kupiony za dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Anglicy byli zadowoleni, ja też.

Nagle przychodzi pismo od wybitnego adwokata Frilinga, który w imieniu głównego wierzyciela byłych właścicieli stwierdza, że nabyliśmy dom nieprawidłowo i żąda powtórnej zapłaty. Jak ja się wtedy zdenerwowałem! Byłem młodym adwokatem, myślałem – jak się teraz skompromituję, to koniec ze mną. Poszedłem do dziekana Sokołowskiego, był to wielkiej wiedzy cywilista, wspaniały człowiek, bardzo serdeczny wobec ludzi. Zasadził do tej sprawy całą swoją kancelarię. Poradzili mi, abym się bronił i czekał na błąd przeciwnika. Bronilem się i czekałem. Rzeczywiście przeciwnik popełnił błąd. Zażądał tego, co przeczyło pewnemu zapisowi hipotecznemu, tym samym zaprzeczając sam sobie. Sąd Najwyższy utrzymał wyrok w mocy.

– **Anglicy denerwowali się?**

– Byli zupełnie spokojni. Gdy opowiadałem im, roztrzęsiony, o sprawie, namawiali, abym poszedł z nimi na golfa. Anglicy to świetni klienci. Jak komuś uwierzą, to wierzą do końca.

– **Zajmował się Pan prawem cywilnym. Sprawy karne do Pana nie trafiały?**

– Specjalizowałem się wyłącznie w prawie cywilnym. Obsługiwałem kilka firm szwedzkich, kilka firm angielskich. Sprawami karnymi zajmowałem się tylko wtedy, gdy była jakaś sprawa z urzędu albo gdy chciałem pomóc komuś biednemu. Stać mnie było na to, żeby doradzać nie biorąc pieniędzy. Bywało, że zajmowałem się obroną ludzi, którym groziła eksmisja. Zagrożeni wyrzuceniem na bruk znajdowali się w strasznej sytuacji.

– **Mówi Pan o eksmisji i wyrzuceniu na bruk. Dzisiejsze prawo nie przewiduje takiej możliwości. Ale są specyficzne dla**

naszego czasu sprawy z zakresu reprywatyzacji. Takich chyba nie było w okresie międzywojennym?

– I takie sprawy się zdarzały. Polskie rodziny występowały o zwrot majątków skonfiskowanych ich przodkom za udział w powstaniach narodowych na rzecz rosyjskich dygnitarzy. Po odzyskaniu niepodległości dobra te formalnie przeszły pod zarząd skarbu państwa polskiego. Wspólnie z adwokatem Nadratowskim występowałem w jednej z takich spraw. Spadkobiercy zażądali zwrotu części Puszczy Białowieskiej, która należała w wieku XIX do ich przodka, polskiego generała. Moskale w czasie rozbiorów upaństwowili puszcze. Sprawa została wygrana, rodzina generała otrzymała swój kawałek puszczy, a my dostaliśmy królewskie honoraria – mój kolega dobra ziemskie w Poznańskim o powierzchni około 600 hektarów, a ja pokaźną sumę pieniędzy. Opowiem pani jeszcze jedną historię z mojego adwokackiego życia przed wojną. Byłem syndykiem masy upadłościowej fermy lisów. Norweg, który przywiózł do Polski dwa tysiące lisów, zbankrutował w ciągu jednego dnia, ponieważ cena lisów na giełdzie futrzarskiej w Londynie spadła kilkakrotnie. Przyczyną tego krachu było wejście na rynek pierwszych sztucznych futer. Zajmowałem się przez dwa lata tymi lisami – ułożyłem się z wierzycielami, z bankami, część lisów sprzedałem. Wreszcie to, co uratowałem, oddałem Norwegowi, który prowadził hodowlę aż do wybuchu wojny.

– **Czy środowisko adwokackie okresu międzywojennego różniło się od adwokatury powojennej?**

– Przed wojną adwokatura była zwartą korporacją, dość elitarną,

o ustalonym prestiżu społecznym, przestrzegającą określonych norm postępowania. Wydaje mi się, że w okresie powojennym zawód adwokata traktowany był jako lukratywny, a zatem ściągał ludzi z różnych środowisk. Dawniej dbano o godność stanu, dzisiaj dba się tylko o dobro zawodu.

– Zajmował się Pan nie tylko prawem, ale także sportem. Mało kto wie, że to właśnie Pan jest najstarszym żyjącym olimpijczykiem. Brał Pan udział w olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 roku, występując w polskiej reprezentacji wioślarskich ósemek. Był Pan też sześciokrotnym mistrzem Polski w wioślarstwie w okresie międzywojennym.

– To wszystko prawda. Przyjechałem do Warszawy w 1920 roku z Rosji, gdzie wiodłem burzliwe życie marynarskie. Zacząłem działać w warszawskim AZS-ie oraz w centrali akademickich związków sportowych. Wspólnie z delegacją sportowców byłem u Marszałka Piłsudskiego, aby prosić o pomoc. Ta wizyta przesądziła o tym, że zostałem gorącym zwolennikiem Marszałka. Ujął mnie swoją bezpośredniością i serdecznością. Jednocześnie rozpocząłem trenowanie wioślarstwa i studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Ponieważ prawo mnie zainteresowało, a wodę czułem pod wiosłem, odsunąłem się od morza.

– **Wolał Pan zostać adwokatem niż być marynarzem?**

– Byłem wolnym człowiekiem morza. Jako prawnik mogłem wybrać tylko adwokatwę, która daje największe możliwości regulowania własnego rytmu życia.

– **A morze przygotowało Pana do wioślarstwa.**

– Morze to wielki rozdział mojego życia. Wprawdzie urodziłem się w Petersburgu, ale wychowywałem nad Morzem Czarnym. Mój ojciec Jan Gordziakowski, lekarz weterynarii, mikrobiolog, absolwent Instytutu Pasteura w Paryżu, bardzo ceniony w Rosji – na prośbę rządu carskiego brał udział w ekspedycji ratującej renifery – wybudował dom na Krymie. Tam połknąłem bakcylię morza. Byłem rośły, zdrowy. Uciekłem z domu mając dwanaście lat i zaciągnąłem się na szkuner jako chłopiec okrętowy. Fascynacja morzem doprowadziła mnie do stopnia bosmana z cenzusem. Pływanie na Morzu Czarnym dało mi świetną kondycję, która zaprocentowała w wioślarstwie. Gdy na morzu cichł wiatr, było upalnie, a mieliśmy półtorej tony ryb na statku, to wiadomo było, że na bazarze nie będą one nic warte, jeśli szybko nie dopłyniemy. Trzeba było parę godzin wiosłować.

– **Po odzyskaniu niepodległości pełnił Pan służbę jako bosman na pierwszym polskim okręcie wojennym „Pomorzanin”.**

– Była to pierwsza polska jednostka w odrodzonej marynarce wojennej w 1919 roku. „Pomorzanin” w imieniu wolnej Polski złożył pierwszą wizytę dyplomatyczną w Rydze. Opowiem pani historię, której nikt nie zna. W 1920 roku, w czasie wojny bolszewickiej, część polskiej kawalerii została odcięta na terenach Litwy i Łotwy. Wtedy „Pomorzanin” został wysłany, aby zabrać kawalerzystów. Jest to fakt nieznan historycznie. Ja sam brałem udział w tej akcji. Nie udało nam się zabrać z plaży tylko koni. To niewykonalne, jeśli się nie ma specjalnego pomostu.

– **Lubił Pan trudne zadania. W czasie drugiej wojny światowej nie siedział Pan beczynnie, ale pracował w służbie nasłuchu VI Oddziału Prasowego.**

– Wydawałem codzienną gazetę „Dzień”. Informacje pochodziły z nasłuchów radia BBC, Głosu Ameryki, a nawet odbiornia Morse’a. Utrzymywałem bardzo żywe kontakty z warszawską fabryką telefoniczną „Dzwonkowa”. Produkowano w niej specjalne aparaty radiowe na fale krótkie i prąd stały, które otrzymywałem do prowadzenia nasłuchów. Ja zajmowałem się wydawaniem „Dnia”, a głównym rozprawdającym pismo była adwokat Zofia Szulc. Niestety wpadła w ręce Niemców i wywieziono ją do Ravensbrück. Została powieszona na dwadzieścia cztery godziny przed wejściem Amerykanów. Po wojnie na cześć tych wszystkich, którzy pracowali w nasłuchu i w „Dzwonkowej” postawiono obelisk nad Jeziorem Kamionkowskim. Dzisiaj jest już nieco zaniedbany.

– **Nie prowadził Pan praktyki adwokackiej w czasie wojny.**

– Nie miałem na to czasu. Mój dom był także schronieniem dla Anglików, którzy uciekli z obozów jenieckich. Było ich u mnie co najmniej kilkunastu.

– **Co się stało z Panem po Powstaniu Warszawskim?**

– Wywieziono mnie do obozu jenieckiego w Grossborn, gdzie byłem do zakończenia wojny. Pamiętam te momenty, gdy podejmowaliśmy decyzję – wrócić do kraju, czy iść na Zachód. Był taki dzień – mróz, śnieg, zawieja – gdy duża grupa ludzi ruszyła w świat. Ja przyjechałem do Polski. Tutaj dowiedziałem się, że ojciec i syn nie żyją.

Ojca, który był dziekanem Wydziału Weterynarii na Uniwersytecie Warszawskim, Niemcy wyprowadzili z grupą profesorów uniwersytetu z domu spółdzielni profesorskiej na Nowym Zjeździe. Wszyscy zostali straceni. Mój szesnastoletni syn, Wojciech, zginął w czasie akcji na siedzibę gestapo w Alei Szucha, w pierwszym dniu Powstania.

– **Lata pięćdziesiąte przyniosły weryfikację adwokatów. Został Pan w zawodzie, ale wszczęto przeciwko Panu postępowanie dyscyplinarne.**

– Miałem dyscyplinarkę z tego powodu, że zniknął mój aplikant adwokacki. Tym aplikantem była moja żona. Po wojnie pracowała w ambasadzie angielskiej. W pewnym momencie zaczęły jej ginąć papiery, pakunki, torebki. Zorientowała się, że jest śledzona przez Urząd Bezpieczeństwa. Powiedziała o tym Anglikom, którzy natychmiast jej pomogli. Przeszła na Zachód i została zaangażowana do pracy w sektorze angielskim w Berlinie. Stamtąd wyjechała do Anglii, a potem do Kanady.

– **Został pan sam?**

– Z córką. Studiowała prawo. Ja pracowałem jako radca prawny „Spółem” i „Cepelii”. W 1973 roku przeszedłem na emeryturę. Córka wyjechała za granicę. Potem zaczęła się moja choroba. Radziłbym sobie nawet całkiem nieźle, gdyby nie oczy. Mam poważne kłopoty ze wzrokiem, niewiele widzę. Nie mogę czytać, ani oglądać telewizji. Zostaje mi słuchanie radia.

– **Kto Panu organizuje codzienny dzień?**

– Sam robię zakupy, ale przychodzi siostra PCK, aby mi pomagać.

– **Jaki obraz z dawnych lat wraca do Pana najczęściej?**

– Morze. Ono żyje we mnie do dnia dzisiejszego. To moja największa miłość. Najmniej zapomniałem o pływaniu. Jestem pewien, że gdybym widział, mógłbym wytypować kurs na mapie,

mogłbym obliczyć kierunki, dryfy i trafiłbym na miejsce.

– **Dziękuję za rozmowę.**

(Na wniosek dziekana Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie, uchwałą Prezydium NRA z 16.VI.1993 r. adwokat Otton Gordziałkowski został wyróżniony odznaką „Adwokatura Zasłużonym”).